

która nie znosi pracować bez efektu widocznego, i tak sprzeczące z moim organizmem, który kwadransu jednego nie może siebie upodabniać do owej małej, nędznej, na pół zdechłej muchy, zdecydowałem, że mam do wyboru raz jeszcze — zaniechać wszelkiej współpracy z sejmem i stanąć do dyspozycji Pana Prezydenta, aby okrojować nowe prawa w Polsce, albo ustąpić ze stanowiska szefa gabinetu polskiego, który musi z sejmem współpracować.

Wybrałem to drugie i dlatego przestałem być szefem gabinetu polskiego. Powtórzyłem przy tym Panu Prezydentowi raz jeszcze moją radę, by szukał poza mną i p. Kazimierzem Bartlem jeszcze kilku ludzi, którzyby «Hard Labour» pracy szefa gabinetu wytrzymać czas pewien mogli. Z drugiej strony dodałem, że przy każdym cięższym kryzysie staję do dyspozycji Pana Prezydenta, jako szef gabinetu, biorący śmiało decyzję na siebie i wyciągający równie śmiało konsekwencje ze swoich decyzyj. Dodam, że za obopólną zgodą Pana Prezydenta i szefa gabinetu, p. Bartla, dyrektywy szefa gabinetu w stosunku do polityki międzynarodowej polskiej, jak dawniej, pozostają w moim ręku.

## PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE LEGIONISTÓW W WILNIE

(12 sierpnia 1928 r.)

*Doroczny zjazd legionistów w rocznicę aktu 6 sierpnia został zwołany w 1928 r. do Wilna na dzień 12 sierpnia. W dniu tym Piłsudski w sali «Reduty» wygłosił niżej przytoczone przemówienie. Jest ono podzięką Wodza swoim żołnierzom, za to, że go kochali, że byli z niego dumni, za to, że mu krwią swą i życiem dali «prezent» z rodzinnego jego miasta, a za co, «gdy serce swym grobem poi — serce swe na Rossie kładzie» wśród mogił swoich żołnierzy. Ostatnie to przemówienie Piłsudskiego na zjeździe legionistów.*

*Podajemy je według «Monitora Polskiego» z dn. 13 sierpnia 1928 r.*

Szanowne panie i kochani koledzy!

Gdy w Wilnie mam mówić, nie chcę w swej mowie ni zgrzytów, ni goryczy. Małym chłopcem biegałem tu po ulicach. Do szkoły tu chodziłem i do miasta. Uczyłem się tu przywiązywać, jak uczyłem się myśleć i uczyłem się kochać. Gdy więc w Wilnie mówię, nie szukam goryczy, nie wołam zgrzytów.

Gdy nad tematem mowy swej namyślałem się, szukałem zwykłych, najzwyklejszych tematów: znalazłem jeden, być może nieudolny, lecz o nim mówić będę, będę mówił o lingwistyce — do klasycznej szkoły tu chodziłem. W lingwistyce nigdy nie był mocny, przeciwnie — dość wielki wstręt do języków odczuwałem, lecz w przebiegu mego żywota siedziałem w tyłu więzieniach i tyle lat życia swego w samotności spędziłem, żem czuł pociąg do zastanawiania się nad słowami i nad pojęciami, które te słowa oznaczają. Będę mówił o jednym słowie tak, jak nieraz w samotności nad tym słowem myślałem. Słowo to w języku polskim brzmi «miły». Słowo, które się na inne języki ledwo daje tłumaczyć. Gdy szukałem w innych językach odpowiednika, nigdzie go nie znalazł. Słowo «miły» synonimowo nie da się oznaczyć. Jeżeli słowo przybliżone, jakim jest «piękny», nawet «ładny» weźmiemy, to «miły» niekiedy jest przeciwstawne do tego, co piękne, do tego, co ładne. Mówimy: «miły wyraz twarzy», mówimy: «miły uśmiech», mówimy: «miłe przeżycia». A pojęcie piękna w tym nie istnieje. Miła rzecz nie jest piękna. Inna prawda duszę przykuwa. Inna myśl przyciąga. «Miły», gdy dobrze pomyśleć, jest miłym i basta. Nie znajdziemy żadnego odpowiednika, któryby temu słowu odpowiadał lub go jako tako tłumaczył. Jest w tym czar i urok. Urok i czar, który jest silniejszy nad moce i piękniejszy nad piękno, który daje chwilę przyciągającą i duszę skuwającą ku sobie, tak, że niebo wprowadza na ziemi. I gdy myślę znowu o pojęciu «miły», sądzę, że najłatwiej to sobie wytłumaczyć, gdy miłe przeżycia ku sobie przywołam, gdy zacznę tłumaczyć słowo «miłe» tym, co dla ludzi wszystkich jest miłe, co mówi o miłym. I pierwszą rzeczą, którą wezmę, są prawa matczyne. Ileż to dzieci próbowałem przekonać, że matka ich jest brzydka. Pomimo, że nieładna była, każde dziecko zacięcie się broniło. Nie spotkałem dziecka, któreby mogło stwierdzić, że matka jest brzydka, i gdy nie mogło słowa «piękna» wykrztusić, od razu zgadzało się ze mną, że matka jest miła. Matczyne łono, matczyne pieścioty, pieściwe pieścioty dziecka, które serce matki wykuwa i z siebie wyrzuca; gdy dziecko w trwodze się budzi, pierwsze spojrzenie widzi nad sobą matki schylonej, by pieścią gładzić dziecko, by je uspokoić. Gdy dziecko silniej zaszlocha, matka dziecko zawoła, by je uspokoić, ku sobie przywiązać i szloch w piersi zdusić. I ileż wspomnień! Gdy mówię o matkach, ileż miłych wspomnień i miłych przeżyć ciągnie się ku temu, co matczyne i miłe.

Przejdę do drugiego przeżycia, tak ciężkiego u nas, co

dziećmi jesteśmy. Każdy z nas przeżywał okresy, gdy był złamany, gdy pierś ciężko oddychała, a poranek, gdy budził człowieka, budził go z uczucia ciężaru. Każdy to przeżywał, a gdy w ciężkiej prawdzie życia i gdy w ciężkich prawdach przeżycia pieszczota zgryzotę dusi, gdy oddech powraca do piersi i zmarszczki na czole wygładza, gdy pomoc człowieka znajduje, by nie być szmatką zmarniałą, niezdatną do życia, to wtedy te przeżycia są miłe, zostają w pamięci, nie znikają.

Jeszcze jedna, może najbardziej jaskrawa prawda «miłego». Jest nią dziecko. Nad głową stoi czas, nad duszą świszczy bat i człowiek się z sobą mocować musi, aby wytrzymać, i wtedy — ramię małego dziecka — dziecka, prawda, bezsilnego, co myśleć nie umie, lecz czarownie się uśmiecha, dłońmi pieści tak, jak jedwab, zmarszczki wygładza i troski zwalczać każe. Bezsilność dziecka jest jego potęgą. Niewprawny język, niewprawne członki ciała, ruszające się niezgrabnie, nosek, jak kartofelek, czoło łysawe, ani to piękne, ani siła. Patrzenie, dziecko słabe, ledwo słowo wymówi, a w domu to słabe słowo, jak silne języka słowa, powtarzają. Język dziecka staje się językiem dorosłych. Nowe słowa dziecko tworzy, które zostają u ludzi w pamięci wieki całe. Bezsilność, połączona z siłą, brzydota z pięknem, to jest miłe, to czar — to urok, co serce zniewala, co przykuwa do siebie i mocno ku sobie pociąga.

Jeżeli nie wszyscy panowie tak z dziećmi obcuja, jak ja, to jednak dobra połowa ludzkości, matki z dziećmi mające do czynienia, mają te przeżycia miłego tak silne i tak niezłomne, że niosą swe przeżycia z dziećmi aż do grobu.

Gdym myślał, panowie, o słowie «miłe» i o wszystkich uczuciach, które czarem, urokiem ku sobie skłaniają, zawsze przypuszczałem, że człowiek, gdy do grobu idzie, poduszkę wspomnień ze wszystkich swoich miłych przeżyć uplata, tak, by to, co miłe, szeptało strudzonej głowie o tym, co miłe pamięta, i we wszystkim znajdziemy jedną wielką prawdę. Siłę pieszczoty, co pieściwie dzieła tworzy, co pieściwymi dziełami zmarszczki wygładza, młodość nową daje i daje przeżycia tak silne i trwałe, że wszystkie inne zgładza, a z «miłem» idzie człowiek do grobu.

Kochani koledzy, gdy o wszelkich zjazdach myślę, którem widział, przeżywał i które ze sobą porównywałem, zawsze znajdował jedną wielką prawdę dla nas, że zjazdy nasze są bardziej dziecinne, gdy nawet koledzy i koleżanki zwinności nóg nie próbują i niezgrabnych lub zgrabnych podskoków figlarnych nie robią, kiedy w życiu udają dorosłych, a nie dzieci. A gdy wy, panowie, się zbieracie, to najczęściej udajecie

dzieci. Gdy się znajdziecie w jakim mieście, mury pękają od was, od waszych krzyków i hałasów, święto z sobą niesiecie, musowe dla innych, święto jakieś, które macie w duszy, gdy się spotkacie. Bezwiednie ku sobie idą ręce, bezwiednie z uśmiechem uśmiech się spotka. Bezwiednie uściskiem się łączą dłonie i usta. Niechętni ku sobie ludzie zapominają o niechęci. I miasto, które swym zjazdem zaszczycać, musi mieć święto, gdyż zmuszacie je świętować. Noc zmienia się na dzień. Dzień zmienia się w jakieś okrzyki i hałasy, ludzie znajdują w sobie powagę życia gdzie indziej, lecz nie na naszych zjazdach. I gdym się, panowie, zastanawiał nad tym, dlaczego te nasze zjazdy do innych zjazdów nie są podobne, dlaczego w nich tyle szczerości i tyle jakiegoś odmłodzenia i dziecinnady, tom szukał długo i badał, nie chcąc uczuciom swoim pozwolić się unieść, subiektywnym wrażeniom lub subiektywnym sądom.

Moi panowie! Gdy palec Boży ziemi dotyka, stuletnie dęby ku ziemi gną szyję, a gdy grzmoty i błyskawice po ziemi idą, ptaszyny i ludzie chowają się do schronisk i domów. Gdy palec Boży ziemi dotyka, gdy idzie taka wielka wojna, jaką myśmy przeżyli, to ziemia jęczy i woła, a wyroki gdzieś w niebie wysoko się piszą — dla jednych zatracenie, dla innych odrodzenie. I gdy czasy tak wielkie idą, co świat na inny zmieniają, to, proszę panów, czasy te nie są na miarę piersi tchórzyków, piersi łotrzyków. Muszą gdzieś iść czasy odrodzenia.

Moi panowie, gdyśmy ongiś szli w pole, gdy byliśmy garstką, różniliśmy się od wszystkich żołnierzy dokoła i niczym innym myśmy się nie różnili, jak że pierś bujnie czuła i śpiewała huczną pieśń odrodzenia naszej ziemi. I gdy teraz, po tylu latach się spotykacie, to pieśń odrodzenia, którą ongiś śpiewały piersi, dotąd ją czujecie, bo odrodzenie i wiosna to jedno, i gdy wiosna na ziemi idzie, suche badyle się zielenią, suche wierzby kwitną i zwierzę każde i każdy człowiek pierś ma rozszerzoną. I pieśń miłości, gdy trele słowicze, gdy ryki tygrysów po ziemi idą z potęgą wiosny, gdy idzie odrodzenie, to wszystkie fibry duszy, wszystkie fibry ciała inaczej biją, inaczej śpiewają. I gdyśmy ongiś po naszej ziemi szli w bojach, gdy smutek, gdy boje na ziemi naszej panowały, to myśmy szli do boju, jak do tańca, jak do tańca na równych posadzkach, myśmy szli po drodze do pewności odrodzenia, w odrodzenie wierząc i o odrodzeniu myśląc. Większość z was, panowie, młodzi wówczas byli, nie mieli tłuszczu na różnych częściach ciała, nie mieli siwizny na skroniach i z młodą duszą szliście naprzód. I teraz, gdy o was myślę, gdy dzieje wa-

sze badam i gdy się przyglądam wszystkiemu, coście przeszli, zawsze przypominam sobie Słowackiego wierszyk <sup>1)</sup>, który wam tu przytoczę:

«Młodość miał bardzo piękną, niespokojną.  
Ach! taką tylko młodość nazwać piękną,  
Która zaburzy pierś jeszcze niezbrojną,  
Od której nerwy w człowieku nie zmiękną,  
Ale się staną niby harfą strojną  
I bite pieśnią zapału nie pękną.  
Przez całą młodość, legionista <sup>2)</sup> bujnie  
Za trzech ludzi czuł — a więc żył potrójnie».

Naturalnie, strawestowałem tu trochę Słowackiego, gdyż Słowacki legionistów nie znał.

Gdy w Wilnie mówię, zgrzytów nie wołam, goryczy nie proszę i do pamięci sobie wołam te moje z wami przeżycia, których wiązanek całą mam w pamięci. I nie badam, lecz po prostu wspominał, to, co mi miłe, wspominał to, co było mi pieszczotą.

Wśród kilku wiosen, któreśmy razem przeżyli, pamiętam jedną, co bojem silnym pod Kostiuchnowką była zakończona <sup>3)</sup>. Szła wiosna, wiosna polska. Stałem wtedy na kwaterze w zbudowanym i pozostawionym dla mnie szałasie <sup>4)</sup>. Szalas był duży. Szalasem go nazwę, gdyż dach miał papierem, tekturą, słomą pokryty, i cały domek z desek się składał. Dla elegancji wprawiono nawet szyby. I tych szyb w moim pokoju było kilka. Otwarto wszystkie okna i przez okna wiosna się wdzierала, wiosna poleska, jakaż inna od innych wiosen na świecie. Upojny, silny zapach sosen z upojnym zapachem bagien, bagna poleskie, bagna siwym mchem pokryte, kwitły i jaśniały wiosną. Upojny las poważnie szumiał, dając żywiczne ciepło i żywiczną gorycz. Gdzieś kaczory tęsknie nawoływały kaczki, gdzieś na reducie Piłsudskiego <sup>5)</sup> strzały brzmiały, wrywając się w wonną wiosnę i wiosnę głużyły te strzały. A było w nich coś zniewalającego, mnie śmiercią grożąc.

Wiosna szła na mnie, tak, jak na ludzi idzie. Wspominałem wszystkie wiosny, które przeżywałem, jedną za drugą. Wiosna w nerwy mi wchodziła. Maj uroczy z całym nowym

<sup>1)</sup> Słowacki: «Beniowski», Pieśń I, w. 17—24.

<sup>2)</sup> W oryginale są słowa: Pan Beniowski.

<sup>3)</sup> W dniach od 4 do 6 lipca 1916 r.

<sup>4)</sup> Mowa o ziemiankach pozostawionych przez II Brygadę Legionów w miejscowości nazwanej Nową Rarańczę.

<sup>5)</sup> «Redutą Piłsudskiego» nazwano najbliższej do okopów nieprzyjacielskich wysuniętą pozycję pod Kostiuchnowką w lecie 1916 r.

cieplem i nowym życiem w przyrodę wchodzący. Gdzieś przez okno wdzierał się pogwar, wesole okrzyki mego sztabu, który pod wieczór zbierał się do anegdot. Byłem sam w pokoju i zwyczajem swoim namiętnie po pokoju chodziłem. Mierzyłem krokami swą małą chatkę. Raz po raz, chwila za chwilą, minuta za minutą, godzina za godziną. Zapominałem się, jak w wiosnie, i pierś chciała głęboko odetchnąć, w przestrzeni głębiej odczuwać wiosnę życia. Wyszedłem. Księżyc srebrzysty kładł swe cienie wesole i smutne w lesie. Obejrzałem się dokoła i nagle szloch człowieka usłyszałem. Zwróciłem oczy w tamtą stronę. Księżyc błyskał na karabinie mojej warty, warty dowódcy, co na straży swego odcinka stała. Spojrzałem, szary żołnierz, skulony na płocie, płakał. Wstyd mi się zrobiło. Podeszedłem ku niemu zobaczyć i spytać, czemu płacze — może mu pomóc potrafię? Miłe chłopię, oparte piersią na płocie, ręką spoczywało na karabinie i szlochało. Podniosłem jego twarz i ujrzałem: — twarz małego chłopca, dziecinna, stał na warcie i płakał, jak dziecko. Łzy mu z oczu się lały, tak, jak u dzieci. Twarz młodociana i karabin przy nim. Pierś rozrywał mu szloch, tak, jak rozrywa szloch pierś mężczyzny. Poglądziłem go po twarzy i spytałem: «Chłopcze, co ci jest?» Myślałem, może mu w rodzinie ktoś umarł, może biedak płacze po objęciach zdradliwej kochanki, może urlopu ci trzeba — dam ci urlop. Przyłgnał ustami do mej ręki i szlochał jeszcze silniej. Uspakajałem go, jak mogłem. «Komendantcie, — ryczał chłopiec — ja nie mogę już patrzeć, jak Komendant się męczy i jak pomóc w niczym Komendantowi nie mogę». I zaczął mówić takie brednie, niesłychane jakieś rzeczy o tym, jakby się zakradł do Komendanta, jakby chciał mu całą czekoladę rzucić pod nogi, bo Komendant tak ją lubi. To brednie dziecka-żołnierza, nie umiałem go nawet pocieszyć. Cóż zrobić z takim malcem, który płacze, na warcie stojąc, na karabinie się opierając, i płacze nad męką Komendanta, chcąc mu coś z siebie ofiarować, coś dać po prostu człowiekowi, co się za nich męczy. Chłopak mi nieznan, z twarzy niewidziany, jako chłopię małe stał zawsze w tylnych szeregach — drągali zawsze naprzód stawiali. Pieścił wodza, płacząc nad jego męką.

Biegnę do innego wspomnienia. Pamiętam dzień moich imienin we Lwowie. W r. 1916 po ciężkiej chorobie, której na Polesiu się nabawiłem<sup>1)</sup>. W teatrze szła wielka zabawa, jak zwykle, walce, śpiewanie, bicie mi brawa, krzyząc: «Niech

<sup>1)</sup> Por. t. VI, str. 74.

żyje Piłsudski!» A potem szły inne czasy nieco <sup>1)</sup>. W Austrii zostałem zaproszony na obiad do komendy miasta <sup>2)</sup>. Jestem na tym obiedzie. Koło mnie dla grzeczności usadowiono oficerów, którzy mówią po polsku, chcą ze mną po polsku rozmawiać. Rozmawiamy przy czarnej kawie. Opowiada mi major zdarzenie, które miał z żołnierzami I Brygady. Powiedział mi on: Szedłem po ulicy i widzę: żołnierze idą w czasie niedozwolonym, bo koło godziny pierwszej wieczorem. Idą legioniści. Dwóch nieco się zataczających żołnierzy, którzy, przechodząc, nawet mnie szturchnęli. No, wie pan, panie brygadzie, to są rzeczy zupełnie niedozwolone. Zatrzymałem ich stanowczo. Patrzyli na mnie, honorów mi nie oddali. Spytałem: Co wy za żołnierze? My z I Brygady. Dobrze, z I Brygady, ale zachowujecie się tak, jak nie żołnierze, mówiłem. Ja ich skarcić chciałem. Ależ to z nimi wytrzymać nie można! My z I Brygady, powiedzieli, a pan był na froncie? — Biedny majorzyna, trochę mu się zimno zrobiło. Jeden z nich sięgnął do kieszeni, długo w niej dłubał i gdzieś z tyłu wyjął order *Virtuti Militari*, ale order austriacki, tak tylko nazwany i powiedział: Masz! Potem gdzieś z tyłu wyciągnął pruski order: Masz! Oni mają te same! — Zawrócili i poszli. Te ordery obce, na tyłach noszone, a na piersiach dumne odznaki z mymi literami <sup>3)</sup>. To jest moja Brygada.

I znów pieszczoty, pieściwe dzieło, co sięgnąć może do dumnego czoła, co dumne oczy przed śmiercią nie mrużąc, zapieści, zacałuje. Dumnym sam będąc, umiałem chować i pracować nad moimi żołnierzami — i w ojczyźnie, co dumy nie znała, dumni być potrafili. To wspomnienie zawsze mnie pieści. Baciary lwowskie, na tyłach noszące obce ordery!

Jeszcze jedno wspomnienie. Brygada w owe czasy dostała państwo, a ich Komendant dostał Naczelnika. W tym samym mundurze, w którym pośród innych chodziłem, reprezentowałem państwo polskie, przyjmując posłów z całego świata. Byłem Naczelnikiem i żywo sobie przypominam śmieszne określenie, które jeden z przybyłych z Rosji generałów powiedział, patrząc na mnie: «Ni to Kościuszeko, ni to Korsikan». Był to czas, moi panowie, dość zabawny, gdy hymny obcych państw śpiewano bardziej ochoczo, niż polski. Był to czas ten, gdy Polska ubogim kopciuszkiem słygnęła. I wtedy, proszę państwa,

<sup>1)</sup> Skrót zawierający prawdopodobnie myśl, że były to czasy, w których władze austriackie poczęły kokietować nieco legionistów.

<sup>2)</sup> O zdarzeniu tym mówił Piłsudski już w swym odczycie «O wartości żołnierza Legionów» (por. t. VI, str. 74).

<sup>3)</sup> Mowa o odznace I Brygady, na której były litery: J. P.

w Warszawie było jakieś święto żołnierskie <sup>1)</sup>, nie powiem jakie, i nie powiem kiedy. Przyjechałem na to święto. Święto to ubierano, wedle mody warszawskiej, w jakieś śpiewy, muzyki, deklamacje i innego rodzaju artystyczne utwory. Słuchałem, siedząc na pierwszym miejscu. Dość się nudziłem i tęskno wyglądałem, gdy przerwa nastąpi. Nareszcie przyszła. Wstałem, aby obejrzeć lokal. Obchodząc lokal, zabłądziłem do bufetu. W bufecie było dość dużo ludzi. Obejrzałem się i podszedłem do bufetu. Podskoczyło do mnie kilku podoficerów. «A kolega z którego pułku?» — «Z piątego. Komendant jak do nas przyszedł, to my tu zaraz wstawiamy. Dać wódki! My płacimy! Komendant nie płaci!...»

A dokoła attachés wojskowi obcych mocarstw z przerażeniem spoglądali na bratanie się Naczelnego Wodza z podoficerami. I szła wódeczność za likierem, likier za wódecznością. Ja mam głowę mocną, przepiję nawet podoficera. Wydobyłem świeżo otrzymaną w prezencie od oficerów belweder-skich papierośnicę. «Ho, ho, ho, to ci Komendant fajną papierośnicę wyfasował! A wie Komendant, że Komendant mnie papierosa dłużny?» «Zwracam dług». Wziął, obejrzał, powąchał: «Dawniejsze austriackie pewno były lepsze?»

Gdy tłum dokoła mnie stanął, dokoła Naczelnika Państwa, panowie podoficerowie rozporządzali się w bufecie, sięgając od kielbas do tortów, od tortów do jakichś innych smakołyków. «My płacimy za Komendanta, Komendant nic tu nie płaci». Ogłosiwszy to, jeden z nich mówił: «A ja na Komendanta jestem obrażony». «Dlaczego?» «Bo widzę, że Komendant mnie nie poznaje». «Nie poznaję istotnie». «A do kogo to Komendant w Dynaburgu w szpitalu najpierw podszedł?» <sup>2)</sup> Powiadam, że na sali w Dynaburgu, gdzie leżało mnóstwo chorych, mających palce u rąk i nóg odmrożone wskutek mrozów, które panowały, spojrzałem i zobaczyłem od razu roześmianą szeroką twarz. To mnie pociągnęło i podszedłem. «A pamięta Komendant, co ja wtedy powiedziałem? Ja wiedziałem już z góry, że Komendant zapomniał. Byłem ranny». «Jakaż to rana?» «W koalicję byłem ranny». «Ja wiem, rana w koalicję bardzo szybko przechodzi!...»

To miłe wspomnienia po pamiętkach szczerych. Co to znaczy? Co to jest? Attachés wojskowi zapisywali dokładnie

<sup>1)</sup> Mowa o obchodzie rocznicy 5 p. p. Legionów dn. 18 grudnia 1920 r., w sali Stowarzyszenia Techników w Warszawie.

<sup>2)</sup> Por. t. V, str. 141.



zdarzenie, jakie się wydarzyło w Warszawie, w różnych językach, na świat cały. Wszystko mi było bardzo miłe. «Ni to Kościuszkę, ni to Korsykanę». O Korsykanę marzyła młoda głowa, gdy biegał po tym mieście. O Korsykanę naczytałem się tyle anegdot, tyle baśni. Gdy wróciłem do Belwederu, przypomniało mi się natychmiast, że Napoleon źle jeździł konno i często z konia spadał. Jechał gdzieś w bój i wówczas jeden z gwardiaków spadł z konia, a Napoleon mu powiedział: «Niezgraba». Lecz Pan Bóg go ukarał, bo po ujechaniu 60 kroków Napoleon spadł z konia, a wtedy mija go w pełnym galopie gwardiak i pyta: «A teraz, kto niezgraba?»

Niechno panowie pozwolą. Ostatni fakt miły. Jeden z najmilszych, które przypomnę. Gdy siedział w Magdeburgu, istotnie stał nad głową kat. Nie byłem nigdy pewien życia. Był to jak grób zamknięty. Izolowany byłem bardzo od świata i wtedy właśnie myślałem o miłem, co, jak poduszka, do trumny z człowiekiem idzie. Jedno z najmilszych, jakie mam i jakie przeżyłem, jest Wilno, jest miasto moje rodzinne. I nieraz tam, w Magdeburgu, o Wilnie myślałem, do Wilna tęskniłem. Miłe miasto. Rzędem bieżąca mury, pagórki, otoczone zielenią, pieszczą mury. Mury tęsknie na pagórki spoglądają. Miłe miasto. Gdy na który z pagórków się wyjdzie, ku niebu przez mgłę oparów błyszczą do góry wieżycy, wieżyczki, na których, gdy dzwony zadzwonią, nie wiadomo, czy się skarżą, czy o łaskę proszą, czy tęskny tylko do nieba głos wznoszą. Miłe miasto. Miłe mury, co mnie dzieckiem niegdyś pieścili, co kochać wielkość prawdy uczyły, miłe miasto z tyłu, tyłu przeżyciami. Miasto — symbol naszej wielkiej kultury i państwowej ongiś potęgi. Dynastia Jagiellonów, co nad wieżyczkami Krakowa i wieżami Wilna potężnie niegdyś panowała. Wilno Stefana Batorego, co uniwersytet zakładał i mieczem nowe granice wybijał. Wielcy poeci i wieszczowie, co naród pieścili słowem i w czar zakuwanych słowami życie narodowi dawali... Nie gdzie indziej, jak tu, w tej samej szkole, gdzie ja biegałem w tych murach, pięknie wołających do Boga, uczyli się, jak ja kiedyś, w przeklętej rosyjskiej szkole<sup>1)</sup>.

Wszystko piękno w mej duszy przez Wilno pieszczone. Tu pierwsze słowa miłości, tu pierwsze słowa mądrości, tu wszystko, czym dziecko i młodzieniec żył w pieszczocie z murami i w pieszczocie z pagórkami. Jedno z najpiękniejszych miast w świecie! I biegłem ku Wilnu pieszczotliwą myślą, tworząc sam dla siebie pieściwe pieszczoty dziecko. Jedna z mo-

<sup>1)</sup> Por. t. V, str. 112.

ich książek tam właśnie powstała, w murach Magdeburga <sup>1)</sup>). Czar, zakuty we wspomnieniach, urok odrodzenia, rzucony w szale tam niegdyś. Wszystko to razem składało się na marzenia człowieka, co nie wie, czy jutro do grobu się nie położy. Minęło lat parę i byłem znowu z wami i gdym marzył i myślał o Wilnie, w warszawskim Belwederze zamknięty, myślałem także i o was i gdym w bój zawołał, by Wilno zdobyć, was do siebie powołałem; marzyłem, sądziłem, że dwa serca zbratane dadzą mi to, o czym dusza marzyła. Wilno musi być moje! I jak wyście mi na to odpowiedzieli, żywo pamiętam tę chwilę. Wilno w owym czasie, gdy Polska ledwie żyć począła, gdy ze wszystkich stron żądano naszej ziemi, dłonie ku niej wyciągano, gdy bitwy na wszystkich ścianach Rzeczypospolitej i wojna trwała, gdy inne państwa już były spokojne, gdy działa u nas grzmiały, gdy tam spokoju już doznali, Wilno dalekie było od myśli i Wilno dalekie było od zakłopotania serca wszystkich. Wyście stanowili najpewniejszego żołnierza, żołnierza, który mnie nigdy w wojsku nie zawiódł, który dał mi wszystko, co żołnierz wodzowi dać musi. Was powołałem <sup>2)</sup>). Szła wielkanocna pora, gdy batalion za batalionem, szwadron za szwadronem do Wilna śpieszyły. I szła pogwarka wśród wiary — Komendant nasz Wilno kocha, na Wielkanoc Wilno w prezencie mu damy... Prezent wspaniały. I gdy myślę, że nie sądząc nawet o ważności Wilna dla nas, jako prezent, jako pieśczoła dla serca Komendanta, wieleście mi dali i gdy pomyślę, że tam gdzieś na Rossie u wrót cmentarzy mogiłka za mogiłką leży, jedna przy drugiej, jak żołnierze w szeregach, ci, co życie dali, by Komendanta serce pieścić, to mówię, że miłym to być musi, i gdy serce swe grobem poję, serce swe tam na Rossie kładę, by wódz spoczął z żołnierzami, co mogli tak pieścić dumnego wodza czoło, co mogli tak życie dawać jedynie dla prezentu. I miłe to musi być wrażenie przeżyć życiowych w Legionach, miłe wrażenie i teraz, gdy z wami się żegnam; gdy kończę, i kończę w Wilnie, życzę wam, byście dzień dzisiejszy, dzień naszego święta, spędzili istotnie tak, jak było to niegdyś, byście miastu spokój zakłócili, by miasto zadrżało w waszych objęciach, tak, jak drżało ongiś, gdyście tu marszem zwycięskim wchodzili...

<sup>1)</sup> Mowa o «Moich pierwszych bojach», por. t. IV, str. 248—402.

<sup>2)</sup> Mowa o 1 dywizji legionowej, użytej przy zdobywaniu Wilna w kwietniu 1919 r.